

W swoim debiucie w roli selekcjonera Górski na mecz ze Szwajcarią nie powołał więc do kadry Huberta Kostki, Jerzego Gorgonia, Władysława Stachurskiego, Adama Musiała, Bronisława Buli i Andrzeja Jarosika, a Zygmunt Anczok i Kazimierz Deyna zagraли dopiero w drugiej połowie. Ten pierwszy „wstrząs”, jak to określił Górski, był bardzo potrzebny. W Lozannie drużyna wzięła się w garść i pokonała Szwajcarię 4:2. Zwłaszcza po przerwie prezentowała się dobrze. Wtedy na lewej obronie bezbłędnie grał „Ana”, a w drugiej linii grę uporządkował „Kaka”.

### BLASKI I CIENIE „WARIANTU RYZYKO”

Mała rewolucja kadrowa była wpisana w „wariant ryzyko”, jeden z podstawowych pomysłów pana Kazimierza na budowę reprezentacji. Zanim sięgnął z drużyną po złoty medal olimpijski w Monachium i tamże po trzecie miejsce w X Mistrzostwach Świata, wypróbował na różnych pozycjach (i z różnym skutkiem) aż 65 zawodników, w tym – to już zadziwia szczególnie – 13 kandydatów na pozycję „libero”. Dość często towarzyszyłem Górskiemu w tych selekcyjnych wędrówkach po kraju, niekiedy także zagranicą. Nie zawsze jego decyzje w pełni przekonywały, ale taka była cena owego „wariantu ryzyko”.

Debiut krajowy w eliminacjach mistrzostw Europy był jednak już dość wyraźną zapowiedzią przyszłego „Wunderteamu”. Wrócili do podstawowego składu: Anczok, Gorgoń, Musiał, Bula, Deyna, Maszczyk i Jarosik. Nadal jednak największy kłopot był z bramkarzami. Władysława Grotyńskiego wyeliminowały z kadry „wydarzenia na Okęciu”, Jan Gomola nie był wymarzoną kandydatem, Piotr Czaja przedwcześnie spasował, Hubert Kostka miał już swoje lata, a Jan Tomaszewski – dopiero dojrzewał do reprezentacji. Trener Górski nadal ekspe-

rymentował. Nawet mecz z RFN w Warszawie o mistrzostwo Europy był pomysłany li tylko jako interwał w drodze do „gry innej i lepszej”. W Stambule selekcjoner obserwował reprezentację RFN w meczu o punkty z Turcją.

...„Drużyna Helmuta Schoena – to klasa światowa! – powiedział. – Już sam wynik 3:0 dla gości mówi wiele, ale... nie wszystko. Zespół RFN gra na wskroś nowocześnie. Zachowując swoje tradycyjne cechy: waleczność, twardość, szybkość i skuteczność, Niemcy wnoszą na boisko pomysłowość i elastyczność, zaskakują nowatorskim systemem gry. Większość drużyn w Europie i na świecie nadal wzoruje się na „brasilianie”, tymczasem piłkarze NRF forsują ustawienie 1+1+4+3+2. Przypomina to na boisku kształt półksiężyca. Centralną postacią zespołu jest Franz Beckenbauer. To już nie tylko „wymiatacz” w dotychczasowym stylu, to także „libero” o znacznie szerszym wachlarzu zadań. Jest i piątym obrońcą i czwartym pomocnikiem, ale w zasadzie nie przekracza środkowej strefy boiska. Dużą indywidualnością jest bramkarz Sepp Maier, imponują też Guenther Netzer i Gerd Mueller. Pierwszy gra na całej długości boiska, a drugi – to sprytny, trudny do upilnowania egzekutor.

– Któremu z naszych piłkarzy powierzyłbyś opiekę na Muellerem?

– W tej chwili mam tylko jednego kandydata, Jerzego Wyrobka. On każde zadanie wykonuje bardzo solidnie. Jego konkurentem może być zdrowy Andrzej Zygmunt...

– A kto ewentualnie mógłby być „polskim Beckenbauerem”?

– Tu też widzę tylko jednego kandydata na nowoczesnego „wymiatacza”. Może nim być, oczywiście tylko w dobrej formie – Bernard Blaut. Zastanawiam się też, kto mógłby u nas spełniać rolę podobną do Netzera... Chyba tylko Leszek Ćmikiwicz... Są to jednak uwagi wyłącznie „na dziś”... Nie wykluczone, że „jutro” czyli w meczu z Polską w Warszawie, trener Schoen zaskoczy nas jakimś nowym wariantem taktycznym...

Prawda absolutna nie istnieje, są tylko prawdy obiektywne, ale i one dojrzejają powoli. Tak też było z „prawdą selekcyjną” Kazimierza Górskiego. Przykład teorii ewolucji. Przed meczem z RFN jeszcze nie za bardzo wiedział, na których zawodników może i powinien liczyć. Potrzebne były dalsze próby, eksperymenty. Samodzielne, bez podpowiedzi natrętnych doradców, Górski korzystał z pomocy wyłącznie osób dobrze znających temat. Ale i tu nie ustrzegł się błędów. Przed meczem z RFN z lamusa wyciągnął Stanisława Oślizłę i Jerzego Sadka, natomiast pominął Blauta, Ćmikiewicza i – co wywołało największe zdumienie – Kazimierza Deynę. Wreszcie, być może nieco przedwcześnie, ale z konieczności zdecydował się na bramkarski debiut Jana Tomaszewskiego. Wiele osób skrytykowało „Tomka”, ale moim zdaniem powodów do rozpaczki nie było.

Przed rewanżowym meczem z RFN w Hamburgu „biało-czerwoni” rozegrali jeszcze z Hiszpanią w Gijon pierwszy mecz z drugiej fazy eliminacji przedolimpijskich. Byłem na tym meczu, ale – już nie jako sprawozdawca „Przeglądu Sportowego” lecz od lat naszego największego konkurenta „Sportu” Katowice i... „Piłki Nożnej”. Skład z meczu z Niemcami został gruntownie zmieniony. Odpadli: Tomaszewski, Oślizło, Musiał, Maszczyk, Bula, Sadek i Gadocha, a pojawili się: Marian Szeja, Antoni Szymanowski, Marian Ostafiński, Bernard Blaut, Kazimierz Deyna i... Grzegorz Lato. (Był to jego reprezentacyjny debiut). No i stał się cud. Wprawdzie olimpijska drużyna Hiszpanii, to nie pierwsza reprezentacja RFN, ale poprawa w grze naszej drużyny była widoczna, zrodziła się więc nadzieja na dobry wynik w Hamburgu. Pisałem po meczu Hiszpania – Polska na stadionie „El Molinon” w Gijon:

...Spośród wszystkich czynników określających dobrą grę drużyny, tym razem na czoło wybija się ogromna ambicja, wola walki i chęć rehabilitacji za dotychczasowe niepowodzenia. Warunki do gry nie były łatwe. W Hiszpanii zamiast słońca, ciepła i suchego boiska zastały nas deszcz, chłód i błoto. I w takich

oto warunkach nasi piłkarze, zwłaszcza po przerwie, rozegrali dobre spotkanie. Co szczególnie rzucało się w oczy?

Bramkarz Szeja w całym meczu popełnił tylko dwa niewielkie błędy. Obok Ostafińskiego w roli „wymiatacza” i Gorgonia był najlepszy w naszym zespole. W sumie obrona w składzie: Szymanowski, Gorgoń, Ostafiński, Anczok stanowiła monolit.

Udane powroty Deyny i Blauta. Pierwszy najczęściej zagrażał hiszpańskiemu bramkarzowi Castro, drugi wniósł do drużyny dojrzałość i spokój. Wraz z Szołtysikiem to solidna formacja.

Napastnicy grali nierówno, najbardziej od najlepszych odstawał Banaś. Jak zwykle największą indywidualnością był Lubański. Udany debiut Grzegorza Lato. Dobrze przyjęła go „starszyzna” reprezentacji. Skrzydłowy z Mielca zadziwił bojowością, młodzieńczym polotem i fantazją.

Byłem przekonany, że większość aktorów z Gijon wystąpi w meczu z RFN w Hamburgu. Nieodzowny wydawał się tylko powrót Gadochy. Był kontuzjowany, ale podobno już wydobrzał. Pozostaje pytanie, kto na prawym skrzydle – Marx czy nowicjusz Lato? Tradycjoniści powiadają, że „nie należy zmieniać zwycięskiego składu”. Nigdy nie podzielałem tego poglądu, sprawia bowiem wrażenie zastygłego w formie i treści. Często demobilizuje trenerów i zawodników, hamuje rywalizację i ogranicza swobodę w poszukiwaniu jeszcze lepszych rozwiązań selekcyjno-szkoleniowych. Górski przed odlotem do Hamburga zawierzył aż dziesięciu zawodnikom ze zwycięskiego meczu w Gijon. Odpadł tylko Banaś, a ponieważ Gadocha wciąż odczuwał skutki kontuzji, przeto w ataku wystąpił tercet: Marx, Lubański, Lato. Błyszczał Włodek. Był to już jego 50 występ w reprezentacji Polski.

Po remisie w Hamburgu przyszła jednak kolejna przegrana o punkty w eliminacjach mistrzostw Europy i... smutna refleksja: – To za wysokie progi na na-

sze nogi... Teraz należało się skupić na grach kwalifikacyjnych przed Olimpiadą w Monachium. Kazimierz Górski, już znacznie bogatszy w doświadczenia, nadal eksperymentował. Znowu postawił na Huberta Kostkę, Jana Wrażego, Andrzeja Jarosika, Lesława Ćmikiewicza, Jana Banasia i Roberta Gadochę, zrezygnował tylko z Bernarda Blauta. Lukę po nim skutecznie łątali Jerzy Kraska z Gwardii Warszawa lub Zygmunt Maszczyk z Ruchu Chorzów.

Wśród wybrańców Górskiego nie było jednak ani jednego zawodnika z zasłużonej dla reprezentacji Polonii Warszawa i ambitnego Lecha Poznań. Przyczyna prosta. „Czarne koszule” wciąż wałęsały się po boiskach III ligi, a „Kolejorz” akurat w roku 1971 – po dość długiej kwarantannie – dopiero awansował do II ligi. W „Piłce Nożnej” podjąłem więc powszechnie akceptowaną inicjatywę **„Odbudujmy kluby z tradycjami”**, wszak między innymi gra toczyła się również o Cracovię i Wartę Poznań. Cała czwórka trafiła do drugorzędnych zrzeszeń sportowych, ale Lech i Polonia niewątpliwie do najgorszych. Cóż bowiem kolejarzkie zrzeszenie mogło tym klubom zaoferować? – Bezpłatne przejazdy kolejną? Taki sponsoring nie stworzy warunków na odgrywanie przez te kluby sztandarowej roli w Poznaniu i Warszawie.

Miałem małą satysfakcję, że właśnie po moim obszernym reportażu z Poznania p.t. **„I znowu rusza lokomotywa”** Lech systematycznie zaczął piąć się w górę. Najpierw z trzeciej przeskoczył do drugiej ligi, a zaraz potem wrócił do ekstraklasy. – *„Mamy dobry klimat dla naszej pracy”. „Miejsce Lecha jest w I lidze”. „Teodor Napierała przywrócił w klubie atmosferę koleżeńskiej”* – mówili ówcześni działacze: prezes Waław Drab, wiceprezes Stanisław Buczkowski i klubowa piłkarska rada trenerów w składzie: Edmund Białas, Zygfryd Słoma i Mieczysław Tarka. Ambitni i konsekwentni ludzie, „Kolejorza” wcześniej zwanego „bombardierami z Dębca”. Pięćdziesięciolecie klubu uczcili właśnie powrotem do ekstraklasy. Zapowiedziano budowę jeszcze silniejszej drużyny. Sportowy Poznań bardzo tego potrzebuje.



Po wygranej w Gijon nasi piłkarze o jeden dość duży krok zbliżyli się do turnieju finałowego w Monachium. Wiceprezesowi do spraw szkolenia Stanisławowi Nowosielskiemu nieco poprawiło to humor zepsuty kolejnym niewypałem w eliminacjach mistrzostw Europy. Dmuchał jednak na zimne. Obawiał się bowiem, zresztą nie tylko on, reprezentacji Bułgarii. Niedawno zamiast nas poleciała na finały Mundialu w Meksyku, teraz stoi na drodze do Monachium. Trener Kazimierz Górski obserwował w Sofii mecz Bułgaria – Hiszpania, wysoko wygrany przez gospodarzy i nie ukrywał, że był pod wrażeniem ich dobrej gry. Trudny orzech do zgryzienia.

Na razie cieszyły dwa punkty wywalczone w Gijon. Nasza reprezentacja wystąpiła tam w składzie zdecydowanie lepszym, niż w przegranym meczu z RFN w Warszawie. To był pierwszy powód do optymizmu. Decyzję o powrotach niektórych zawodników do reprezentacji i udanych debiutach w meczu z Hiszpanią Górski podjął z konieczności. Nie miał wówczas innego wyboru. Eksperymenty się powiodły. Teraz trener już dobrze wiedział, że Gorgoń, pewniak w środku obrony, może grać tam w parze nie tylko z Lesławem Ćmikiewiczem lecz także z Marianem Ostafińskim. Zwiększyła się też rywalizacja na flankach. Grzegorz Lato wyrastał na groźnego konkurenta Jana Banasia, Andrzeja Jarosika, Joachima Marxa i Mariana Kozerskiego.

Kłopoty w szybko zbliżającym się rokiem olimpijskim sprawiała tylko obsada bramki. Marian Szeja w Gijon nie grał źle, ale na dłuższą metę nie mógł być uważany za zbawienie dla drużyny narodowej, podobnie jak obaj bramkarze z Górnika Zabrze – Jan Gomola i Hubert Kostka. W tej sytuacji wbrew temu, co w kółko, aż do znudzenia przez wiele lat powtarzał Jan Tomaszewski, że wszyscy i wszędzie usiłowali go powiesić, w korespondencji własnej z Gijon dla „Piłki Nożnej” napisałem: „**Ze szczególnym zainteresowaniem będziemy obserwować dalszy rozwój kariery Tomaszewskiego**”. To dość wyraźnie kłóciło się z tezą „powszechnego zakładania pętli na jego szyi”.

Mimo że jesień 1971 roku przyniosła naszemu piłkarstwu znacznie więcej smutku, niż radości, świeżością powiało na niecodziennej uroczystości „PRZYRZECZENIE REPREZENTANTA”. Futbol przebił się do ław rządowych. Ówczesny wicepremier, Wincenty Kraśko tak postrzegał popularność, rolę i znaczenie piłki nożnej w naszym społeczeństwie: ... *„Jest szkołą charakterów, wytrwałości, dobrej pracy i co szczególnie ceni publiczność – pięknym sportowym widowiskiem. Wybitni zawodnicy, tacy – jak na przykład Lubański – są dziś cenieni na równi z wielkimi aktorami scen teatralnych... Nikt w naszym kraju nie wymaga od piłkarzy zwycięstwa za wszelką cenę, ale ma prawo mieć nadzieję, że każdy reprezentant Polski zawsze, w każdej sytuacji wywiąże się ze swoich zadań na miarę posiadanych możliwości...”*

Rok 1971 zegnałem w niecodziennej roli. Byłem już wprawdzie tylko „malowanym” reprezentantem Polski, selekcjonerem drużyny mediów, teraz stałem się najbliższym współpracownikiem, można by nawet powiedzieć asystentem – Kazimierza Górskiego. Niemalże w zimowej scenerii, wobec 25 tysięcy widzów, na stadionie Polonii Warszawa przy ulicy Konwiktorskiej odbył się od dawna zapowiadany mecz AKTORZY – DZIENNIKARZE. Z racji większej znajomości kolegów piszących i mówiących, mających przy tym wymaganą w środowisku umiejętność kopania piłki, znowu powierzono mi funkcję selekcjonera tej naszej medialnej reprezentacji. A jej trenerem był właśnie Kazimierz Górski. Opiekunem aktorów zaś Marian Łącz. Obsada sędziowska też budząca zaufanie: Bernard Blaut (główny), Kazimierz Deyna i Joachim Marx. Komentatorzy telewizyjni wybitni – Jan Ciszewski i Jacek Fedorowicz.

Widownia przepelniona, mimo że unieważniono wszystkie karty wolnego wstępu. Płatne bilety jak „świeże bułeczki”, wykupiono już w przedsprzedaży. Bo też cel tej atrakcyjnej imprezy był wzniosły: dochód przeznaczono na budowę ZAMKU KRÓLEWSKIEGO. Bramki strzelali: Łącz i Jan Englert dla

Aktorów oraz Hopper i Kubiak dla Dziennikarzy. Nasz zespół dość długo prowadził 2:0, jednak ostatecznie – mecz zakończył się wynikiem remisowym 3:3. Widownia oklaskiwała przede wszystkim artystów. Najwięcej braw zebrali: Mieczysław Czechowicz, Jan Englert, Roman Kłosowski, Tadeusz Łomnicki, Bogdan Łazuka, Józef Nalberczak, Jerzy Ofierski, Jerzy Turek i oczywiście Marian Łącz – strzelec dwóch goli. To był jego stadion. Przed laty sporo bramek zdobył tu dla I-ligowej Polonii Warszawa.

Powoli wkraczaliśmy w Rok Olimpijski 1972. Na łamach miesięcznika „Piłka Nożna”: Grzegorz Aleksandrowicz, Ryszard Koncewicz, Jerzy Lechowski i Mieczysław Szymkowiak, w ścisłym porozumieniu z selekcjonerem – trenerem Kazimierzem Górskim, zaprezentowali autorską listę 35 najwybitniejszych polskich piłkarzy w 1971 roku. Wśród bramkarzy najlepszy – naszym zdaniem – był Jan Gomola (Jan Tomaszewski – piąty), obrońcom przewodził Zygmunt Anczok, pomocnikom Zygfryd Szoltyś (Deyna dopiero trzeci, przed nim Blaut), a wśród napastników zdecydowanie górował Włodzimierz Lubański, w ogóle najlepszy wtedy piłkarz w Polsce. (Lato w ataku już czwarty za Lubańskim, Marxem i Gadochą). Pierwszą drużynę narodową widzieliśmy w następującym składzie: GOMOLA–SZYMANOWSKI, GORGOŃ, OSTAFIŃSKI, AN-CZOK – SZOŁTYŚ, DEYNA, BLAUT I – MARX, LUBAŃSKI, GADOCHA. Tuż za nimi plasowali się: Adam Musiał, Jerzy Wyrobek, Lesław Ćmickiewicz, Henryk Kasperczyk, Bronisław Bula, Grzegorz Lato i Andrzej Jarosik.

Było z czego wybierać. A jak powinni grać ci najlepsi, by być w zgodzie z kanonami współczesnego futbolu i sprostać naszym ambicjom na arenie międzynarodowej? Postanowiliśmy udzielić w tej sprawie głosu wybijającym się zawodnikom na każdej pozycji.

**Władysław GROTYŃSKI** (bramkarz): ...By dziś dobrze bronić, to znaczy bezbłędnie, trzeba by mieć czworo oczu. To nierealne. A co jest możliwe, ba – ko-



nieczne?! Decydująca jest tu, obok własnych umiejętności, dobra współpraca, zrozumienie i zgranie z obrońcami. Trzeba im wybić z głowy zabawy z piłką przed własną bramką. To warunek wstępny powodzenia. Obecnie obrona strzału z odległości kilkunastu metrów nie sprawia bramkarzom większego kłopotu. Gorzej bywa z tym na polu karnym. Współczesny bramkarz musi umieć grać na przedpolu, a więc być również – obrońcą. Spoczywają na nas trzy podstawowe zadania:

- Obrona strzałów lecących na bramkę.
- Umiejętne kierowanie akcjami obrońców.
- Rozpoczynanie akcji ofensywnych własnej drużyny.

Wszystkie te umiejętności osiąga się dopiero po nabraniu odpowiedniego doświadczenia w różnych meczach, a przede wszystkim na treningach. Bramkarz musi ćwiczyć znacznie więcej niż zawodnik grający na innej pozycji, kładąc przy tym nacisk na zajęcia specjalistyczne. Powinien unikać wykopów nogą, ponieważ 50 procent takich zagrań powoduje utratę piłki. Starać się wprowadzać ją do gry ręką... Dokładnie, nigdy na oslepi!

**Zygmunt ANCZOK** (obrońca): ...Będziemy rozwijać kurs na atak... Łatwiej jest wybić się w obronie niż w napadzie. Decydują tu określone warunki fizyczne, sposób myślenia i reagowania na przebieg gry... Nie jest prawdą, że nagła zmiana pozycji np. z lewej na prawą nie sprawia zawodnikowi kłopotu. Dużą rolę odgrywają tu nawyki, przyzwyczajenia, elementy psychiczne. Dziś zadania obrońcy nie kończą się na odbieraniu przeciwnikowi piłki. Trzeba umieć współpracować z pomocnikiem lub napastnikiem, no i – co jest obecnie bardzo cenne – samodzielnie przeprowadzić akcję ofensywną, zakończoną strzałem lub centrajem. A więc trzeba też umieć „wyjść na pozycję”. Nie ma teraz mowy o grze statycznej i jednostronnej...

**Bernard BLAUT** (pomocnik): ...Trzeba być także obrońcą i napastnikiem... Sądzę, że z trzech elementów, składających się na dobrą grę w piłkę noż-

ną (technika, taktyka, kondycja), jeśli idzie o pomocników, na pierwszym miejscu trzeba postawić kondycję. Rozgrywających powinno być nie mniej niż trzech, ale nie więcej niż czterech. Jeśli było by ich jeszcze więcej, to gra w piłkę stałaby się „sztuką dla sztuki”. Nie było by bramek! Kiedy trzech pomocników, a kiedy czterech? Trzech w drużynie, która ma trzech pełnowartościowych napastników, a czterech w zespole – gdy takich atakujących jest tylko dwóch.

Nie przekonuje mnie podział pomocników na „ofensywnych” i na „defensywnych”. Dobry zawodnik tej formacji musi umieć dobrze wywiązywać się z obu tych zadań. Jeśli pomocnik gra tylko „defensywnie”, to staje się stoperem lub w najlepszym wypadku forstoperem. Myślę, że dotychczas najlepszą trójką pomocników (mowa o latach 1968 – 1970) tworzyli Brychczy, Deyna i Blaut. Wszyscy doskonale się uzupełnialiśmy. Brychczy – wielka strategia i doświadczenie, Deyna – młodość, żywioł i najwięcej cech ofensywnych. Blaut – spokój i duża umiejętność asekurowania obrońców. Napastnikiem starałem się być zawsze wtedy, kiedy nacierała Legia, a obrońcą – gdy atakował przeciwnik. W reprezentacji – z uwagi na moją budowę fizyczną, cechy charakteru i umiejętności peryferycznego postrzegania – częściej spełniałem funkcje defensywne.

W drużynie narodowej Deyna i Szołtysik strzelają sporo bramek, bo w drugiej linii mają nieco więcej swobody i często łatwiej im niż napastnikowi zaskoczyć bramkarza. Ale pomocnik przede wszystkim musi umieć dobrze przekazywać piłkę do napadu. Nie ma na to recepty „jak”, jest tylko pytanie „gdzie”? Skutecznie, tak – jak wymaga tego konkretna sytuacja. Raz będą to podania prostopadłe, kiedy indziej tzw. „krzyżowe”, po przekątnej, raz górą, raz dołem, krótkie, długie, podkreścone, z rotacją (z „fałszem”), no i oczywiście – na dobieg. W naszej lidze takie szybkie akcje najlepiej opanowało trio: Szołtysik – Wilczek – Lubański.

Włodzimierz LUBAŃSKI (napastnik): ...Do gry w napadzie trzeba mieć „smykałkę” i dobre warunki fizyczne. Być twardym jak obrońca. Podstawą są tu: duża szybkość biegowa, przebojowość, zmysł do gry kombinacyjnej, dobra technika użytkowa, no i przede wszystkim doskonała technika strzału. Ilu na to trzeba lat pracy? Miałem zaledwie jedenaście, gdy zaczęto mówić, że mam talent. Ale to nie wystarcza. Trzeba też mieć przy tym trochę szczęścia, do klubu, szkoleniowca, kolegów z drużyny, no i oczywiście samemu dużo i solidnie pracować. Powiadają, że ja, to typowy napastnik, a Deyna – typowy rozgrywający. Ale przecież Kazik też strzela bramki, a ja coraz częściej rozgrywam akcje z głębi pola. Czego nam brakuje, by równać się z najlepszymi w Europie? Jeszcze nie umiemy się wzajemnie asekurować. Nad tym musimy popracować...

W Europie jest obecnie dwóch doskonałych środkowych napastników – Johan Cruyff i Gerd Mueller. Wyżej cenię Cruyffa. Mueller jest tylko „królem szesnastki”. Na polu karnym nie ma dla niego żadnych tajemnic. Tam ujawnia swój genialny „uniwersalizm ograniczony”. W głębi boiska jest mało widoczny, niewiele biega, ale w „szesnastce” jest arcymistrzem. Pozwala sobie na przestoje. Cruyff nie! On gra inaczej... Jest tylko nominalnym środkowym. Szuka gry na całym boisku... Jest napastnikiem w pełni uniwersalnym! To mój piłkarski ideał, wzoruję się na jego stylu gry. Cruyff z powodzeniem mógłby grać w każdej drużynie świata, natomiast Mueller, gdyby znalazł się w słabszej, niż obecna reprezentacja RFN, to mógłby mieć trudności. Styl gry Holendra jest bardziej widowiskowy i zmusza kolegów do biegania. Chciałbym grać tak, jak on...

Napastnik musi ćwiczyć strzały z każdej pozycji, także rzuty wolne i karne, uderzenia głową. Żadne podanie, obojętnie z jakiej strony boiska, nie powinno sprawiać mu kłopotów. Potem musi być strzał!... Podczas meczu walczy się z obrońcami, utrudniając zadanie. Aby ich przechytryć, na co dzień, w klubie, trzeba trenować i ćwiczyć strzały w... asyście obrońcy, który przeszkadza. Tak pracuje Gerd

Mueller, ja próbuję tak trenować z Jurkiem Gorgoniem. Pomaga to w grze każdemu z nas. Trening strzelecki nie jest łatwy, w każde uderzenie trzeba „włożyć” odpowiednią siłę. I to tak do stu razy na każdych zajęciach... Norma Muellera sięga podobno dwustu. Kiedy, co trzeci strzał jest celny, wtedy wiem, że jestem w formie...

Mówię tu cały czas o środkowych napastnikach, a przecież w ataku grają także skrzydłowi. Teoretycznie mają do pokonania tylko jednego obrońcę, natomiast środkowy z reguły musi walczyć z dwoma stoperami. Ale z drugiej strony – na skrzydłowym spoczywają większe zadania defensywne. Musi pilnować obrońcę przeciwnika lub co najmniej utrudniać mu grę, starać się odebrać piłkę. Jednak skrzydłowy musi przede wszystkim umieć rozegrać akcję z rozgrywającym i środkowym napastnikiem. W reprezentacji Polski na Igrzyskach Olimpijskich w Monachium powinni grać klasyczni skrzydłowi. Ma takich zespół NRF i... jest mistrzem Europy.

## W DRODZE PO OLIMPIJSKIE ZŁOTO

W roku 1972 przed naszą drużyną narodową postawiono zadanie odważne, ambitne i w przeszłości nigdy tak mocno nie akcentowane. Nowy prezes PZPN, Stanisław Nowosielski wypowiedział się jednoznacznie: – **Chcemy stanąć na podium!** Argumenty? Drużyna okrzepła, już widać udaną realizację koncepcji szkoleniowej trenera Górskiego. Zawodnicy i kierownictwo PZPN mają do niego pełne zaufanie. Pojedziemy do Monachium dobrze przygotowani. W pierwszej fazie praca piłkarzy była oparta o treningi w klubach, ostatnio „olimpijczycy” byli szkoleni centralnie. To dobre rozwiązanie, w naszych warunkach najważniejsze. Mamy więc prawo oczekiwać dobrych wyników...

Okazję do oceny pracy w dwóch czołowych klubach Legii i Górnika (trzon reprezentacji) mieliśmy już w końcu czerwca w finale Pucharu Polski. Wybrałem

się tam w towarzystwie selekcjonera – trenera. Obaj mieliśmy zadowolone miny. Na własne oczy oglądałem niemal wszystkie powojenne finały Pucharu Polski. W latach pięćdziesiątych głównie z udziałem drużyn warszawskich, a w sześćdziesiątych – obok Górnika i Legii – także z udziałem Ruchu, Zagłębia Sosnowiec i Wisły Kraków, ale żaden z nich nie dorównywał dramaturgią i poziomem sportowym temu z 1972 roku. Ten był najlepszy!

W Łodzi, właśnie tuż przed turniejem olimpijskim, bodaj po raz pierwszy w takim wymiarze ukazała się nam piłkarska Europa! Górnik i Legia znowu zagrały wspaniale. Prawdziwa rewia polskich gwiazd piłkarskich, znowu wielkie bogactwo kadrowe. Niedawni reprezentanci Polski – Andrzej Zygmunt z Legii i Jan Wraży z Górnika siedzieli na ławie. Zastąpili ich jeszcze lepsi! Legia długo prowadziła 2:1, ale finisz Górnika, zwłaszcza duetu Lubański – Szołtysik był porywający. Mistrz wygrał 5:2, jedną bramkę zdobył „Mały”, a cztery Włodek. Forma olimpijska. Będzie Lubański królem Monachium? Trener Górski ocenił to wydarzenie krótko, ale dobitnie: – „**Wielki mecz! Piękny styl! Fantastyczny Włodek!...**”

Dobry przedolimpijski prognostyk. Będzie to kolejny rok sukcesów, teraz już w wydaniu reprezentacji? Uwertura też była obiecująca. Reprezentacja Polski juniorów po jedenastu latach bezpłodnych oczekiwań zdobyła wreszcie drugi w historii medal na turnieju UEFA w Hiszpanii. Młodzi Polacy zaprezentowali tam futbol daleki od taktycznej sztampy, szybki, błyskotliwy, prawdziwie polski polot i fantazję. Wszystkich obserwatorów zaskoczyło zwłaszcza wysokie wyszkolenie techniczno-taktyczne Polaków. Najlepsi z nich to: Płonka, Żmuda, Pawłowski, Lorens, Per, Garlej i Kapka.

Nasi olimpijczycy niemal wszystkie mecze na boiskach RFN rozegrali w ustawieniu: 1+(1+3)+3+3 lub 1+(1+3)+4+2. W debiucie pokonali Kolumbię 5:1, a w finale olimpijskim wygrali z Węgry 2:1. Królem strzelców został



Kazimierz Deyna, w czym mądrze go wspierał Włodzimierz Lubański. Turnieje olimpijskie w przeciwieństwie do innych wielkich wydarzeń piłkarskich były z reguły niżej notowane. Impreza w założeniu dość długo czysto amatorska. Tylko kraje z bloku wschodniego zawsze delegowały na Igrzyska najlepszych zawodników. I dlatego wygrywały. Po wojnie tylko w roku 1948 złoty medal zdobyła Szwecja (druga była Jugosławia), ale już na pięciu kolejnych Olimpiadach triumfowali „państwowi amatorzy”: Węgrzy, reprezentanci ZSRR, Jugosłowianie i jeszcze dwukrotnie Węgrzy. W Monachium obok ZSRR, NRD, RFN, Danii i Brazylii, też byli faworytami. Polaków w tym gronie nie widziano. Obsada mocna, gwarantowała wyższy poziom sportowy, niż w Rzymie, Tokio i Meksyku.

I rzeczywiście tak było. Poza grupą faworytów w eliminacjach grupowych nieźle prezentowały się również reprezentacje Meksyku i Maroka. Zawiodła Brazylia. W grupie C wywalczyła tylko jeden punkt w bardzo wyrównanym pojedynku z Węgrami. Później liczył się wyłącznie kwartet: Polska, NRD, Węgry i ZSRR. „Biało-czerwoni” aby zdobyć złoty medal, musieli pokonać każdego z tych rywali. Zdaniem trenera Ryszarda Koncewicza o pierwszeństwie w grupie półfinałowej zadecydował mecz z ZSRR, a właściwie „trenerski nos” Kazimierza Górskiego. Wobec tego, że Andrzej Jarosik ociągał się z wyjściem na boisko, wprowadził do gry Zygryda Szołtysika. I „Mały” strzelił zwycięską bramkę!...

...Nietypowy był to mecz – twierdził „Fajka. – Po nieudanej pierwszej połowie, ci najbardziej niecierpliwi kibice w kraju i w Monachium, zaczęli się denerwować. Przegrana z ZSRR pozwoliłaby „tylko” na grę o medal brązowy. Mecz z Sowiecami z racji dramatycznego przebiegu wydarzeń na boisku był egzaminem dojrzałości, umiejętności i odporności nerwowej naszych piłkarzy. Na finiszu narzucili rywalowi swój styl i sposób walki. Nie potrafili się temu oprzeć wicemistrzowie Europy. Pokonaliśmy dobrą drużynę, dlatego uważam to za moment najważniejszy w całym turnieju.

Jednak skierowano po tym meczu dość ostre słowa krytyki pod adresem Lubańskiego. Ganiono go za to, że się cofa, że nie ma go w przodzie, że biegnąc wzdłuż i wszerz boiska, trwonił siły, zamiast czyhać pod bramką rywala na dogodną okazję do strzału. Chciano, by grał tak, jak Gerd Mueller, a Włodek marzył o stylu Johana Cruyffa. W meczu z ZSRR Lubański – moim zdaniem – wybrał wariant optymalny. W granicach pola karnego „sbornej” był bardzo pieczołowicie pilnowany przez stopera Kaplicznego. Miał tam mocno ograniczone możliwości rozwinięcia skutecznego ataku, więc „szukał gry” w głębi boiska i na flankach.

Co to dawało drużynie? Miejsce opuszczone przez Lubańskiego otwierało drogę do bramki Kazimierzowi Deynie, mógł strzelać z dystansu. Poza tym Włodek, cofając się w głąb boiska, pociągał za sobą Murtaza Churciławę i ograniczał częstotliwość jego strzałów na bramkę Huberta Kostki. Robił więc Lubański dokładnie to, o czym wcześniej rozmawiał ze mną na ten temat w „Piłce Nożnej”. Futbol jest grą dla sportowców mądrych, myślących, twórczych. Jest przede wszystkim grą zespołową! Te wszystkie wartości właśnie na Olimpiadzie w Monachium zaprezentował Lubański. Taka postawa typowego napastnika niewątpliwie ułatwiła Deynie zdobycie tytułu króla strzelców.

Mecz finałowy z Węgrami nie wywołał już tak dużego napięcia wśród naszych piłkarzy jak poprzedni. Po wygranej z ZSRR mieli już srebrny medal, staną na podium, zadanie – wykonane. Bez nerwów, obawy za krytykę, spokojnie można było teraz powalczyć o cel najwyższy – olimpijskie złoto. Takiej szansy w historii polskiego piłkarstwa jeszcze nie było. Piłkarze zagrali bez obciążeń, najlepiej jak potrafili i wygrali. Obie bramki w tym pięknym finale, chyba najlepszym z najlepszych, zdobył Kazimierz Deyna, ale jakże skutecznie pomógł mu w tym Włodzimierz Lubański. Partnerzy. Dwaj nasi najlepsi piłkarze przedłomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych!

Po monachijskiej wiktorii pod adresem piłkarzy posypał się istny grad pochwał. Red. Grzegorz Aleksandrowicz stwierdził, że grali „w stylu największych mistrzów”, Witold Dłużniak uwypuklił „elementy nowoczesności”, Jerzy Talaga podkreślił „rolę taktyki”, Jacek Gmoch „znaczenie rozpoznania rywali”, a sam główny twórca sukcesu Kazimierz Górski „wagę skutecznego treningu i biologicznej odnowy”. Ówczesny sekretarz generalny PKOl Tadeusz Breguła przyznał wreszcie, że „piłkarze zasługują na wydatną pomoc Polskiego Komitetu Olimpijskiego, z której dotychczas zbyt często nie korzystali”.

A jak na to wszystko zareagowali kibice? Telefonowali i pisali do redakcji: – „Często się mówi, nie bez racji, że pierwsza bramka strzelona przeciwnikowi, pierwszy udany skok lub rzut ma znaczenie psychologiczne. W taki właśnie sposób zwyciężył Władek Komar, pchając kulę po złoty medal już w pierwszej kolejce rzutów. Ale bywa też inaczej. Przecież w dwóch kluczowych meczach z ZSRR i Węgrami pierwszą bramkę strzelili nam przeciwnicy. Oni uskrzydleni, nasi w ich cieniu. A jednak polscy piłkarze nie załamali się, ich wola walki była silniejsza, niż chwilowe niepowodzenie. W imieniu wszystkich kibiców pragnę więc podziękować „złotym chłopcom” za tę niezłomną wolę zwycięstwa – pisał Florian Skonecki z Warszawy.

Jak to od kuchni było w Monachium? Jak się mieszkało i żyło w wiosce olimpijskiej? Czy panie równie mocno przeżywały ten niecodzienny sukces swoich partnerów? Długo rozmawiałem o tym wszystkim z Kazimierzem Deyną i jego żoną Mariolą:

– Kaziu! Mecze, bramki, zwycięstwa – to ważne... Ale ja przede wszystkim byłam ciekawa, jak żyjesz w tym Monachium?

– Mieszkałem na czwartym piętrze... W trzydziestym ósmym bloku, w jednym pokoju z Grzegorzem Lato. Przez ścianę sąsiadowaliśmy z Robertem Gadochą i Leszkiem Ćmikiewiczem...

– Często opuszczaliście wioskę olimpijską?

– Kiedy?!... Nie było czasu!... Treningi, mecze, przejazdy pociągiem... Takim szczęśliwym „Sonderexpressem”. Tylko trzy razy byłem w mieście.

– A jak spędzałeś wolne chwile?

– Odpoczywałem... dużo odpoczywałem. To nie był łatwy turniej. O tym, co dzieje się na Olimpiadzie, dowiadywałem się z gazet. Hubert Kostka tłumaczył nam opinie prasy. Mówił, że Niemcy dobrze o nas piszą.

– Kiedy zacząłeś myśleć o tytule króla strzelców?

– Dopiero po meczu z Marokiem... Wtedy dogoniłem Węgra Antala Dunaia. Czułem, że w finale strzelę jeszcze jedną bramkę i go wyprzedzę. Trener Górski też w to wierzył... Przed finałem w wiosce olimpijskiej śpiewali nam „Skaldowie”... Były też Sośnicka i Kunicka...

– A Sipińska? To moja koleżanka. Obie jesteśmy poznaniankami... Co śpiewały? Ja w tym czasie słuchałam w radiu wywiadu z Jurkiem Pawłowskim. Zamówił u ciebie dwie bramki w finałowym meczu z Węgrami. Skąd on to wiedział?...

– Nie mogłem Jurkowi sprawić zawodu...

– Jak to właściwie było z tym karnym? Przecież to nie twoja specjalność, wolisz rzuty wolne... Te twoje słynne „rogaliki”...

– Przegrywaliśmy z „ruskimi” i wtedy ten faul na Włodku!... Trener Górski ustalił, że ewentualnego karnego właśnie on ma strzelać... lub ja. Lubański sfaulowany... Wypada na mnie... Oblały mnie zimne i gorące poty. Ledwo wykrztusiłem: – Włodek strzelaj!

– A on co na to?

– Kaziu, nie mogę, strzelaj ty!... Nie zapomnę tego widoku. Włodek klęczy na ziemi, ma nisko spuszczoną głowę... Co robić?... Idzie o bramkę na wagę złotego medalu. Podszedłem wolno do piłki. Teraz tylko strzelić... Mocno, jak najmocniej! W róg... Może Rudakow nie dosięgnie piłki.

– Dobrze strzeliłeś... Ale redaktor Ciszewski obciążył cię winą za utratę pierwszej bramki w meczu finałowym z Węgrami.

– Miał sporo racji... Do tej pory nie mogę pojąć, jakim cudem Bela Varadi przechwycił moje podanie. Gut był wtedy w przodzie, Gorgoń też... Starąłem się zepchnąć Węgry do linii, ale nie dałem rady. Hubert! – krzyknąłem. – Krótki róg!... Kostka jednak przesunął się do środka. Gdyby pozostał przy słupku, nie było by tej bramki...

– Ale po przerwie całkowicie zmyłeś winę...

– Tak, dopiero gdy było 1:1, swobodniej odetchnąłem. To była lewa noga... Wolę strzelać z prawej, ale i lewa nie jest tylko do podpierania...

– A potem było to zwycięskie 2:1!

– Ładna bramka. Pomógł Włodek... Wyskoczył do „główki” wraz z dwoma Węgrami. Ja śledziłem każdy ich ruch, czyhałem na piłkę. Wyczułem jej lot, moja!... Obrońca jeszcze próbował mnie atakować, ale mu się wywinąłem. Teraz „oko w oko” z Geczim! Szedł do „krótkiego rogu”, ja zamarkowałem strzał w przeciwny... Węgier dał się zwieść i było 2:1...

Olimpijskie złoto zobowiązuje. Po sukcesie skoczek Fortuny na zimowych igrzyskach w Sapporo przyłączyłem się do chóru entuzjastów piłkarstwa, którzy pisali, że „drogę wskazał Wojtek”. Nie był faworytem, początkowo nie był nawet kandydatem „fachowców” z branży narciarskiej, jednak przywiózł do Polski medal z najszlachetniejszego kruszcu. W Monachium równie miłą niespodziankę sprawili „chłopcy Górskiego”. Obalili bzdurne teorie o wybujałym indywidualizmie Polaków i w związku z tym zupełnym braku predyspozycji do gier zespołowych. Utarli więc nosa twórcom tych nieudacznym opiniom. Piłkarze na świeczniku! Podziękowania i gratulacje pod ich adresem kierowano również ze szczytów władzy państwowej i partyjnej.

Złotych medalistów gościli i odznaczyli Krzyżami Kawalerskimi Orderu Odrodzenia Polski i Złotymi Krzyżami Zasługi – przewodniczący Rady Pań-



stwa dr Henryk Jabłoński i I Sekretarz KC PZPR, Edward Gierek. W przeciwieństwie do swojego poprzednika Władysława Gomułki, E. Gierek w pełni doceniał społeczną rolę sportu w ogóle, a piłki nożnej szczególnie. Już w czasach sprawowania niepodzielnej władzy na Śląsku niemal przed każdym ważniejszym meczem międzypaństwowym przyjmował u siebie piłkarzy, a także kierownictwo Polskiego Związku Piłki Nożnej. Znał nazwiska trenerów i czołowych reprezentantów. Na co dzień kibicował Zagłębiu Sosnowiec, ale za autentyczną wizytówkę naszego futbolu uważał reprezentację. Tworzył klimat, który wreszcie potrafili wykorzystać ludzie kierowani z KC do PZPN.

Dobra passa drużyny narodowej trwała. Wkrótce po wygranej w Monachium rozegrano w Bydgoszczy mecz międzypaństwowy z Czechosłowacją. To kraj piłkarski z dużymi tradycjami – dwukrotny wicemistrz świata i srebrny medalista olimpijski. Jak na tle takiego przeciwnika zaprezentują się Polacy? Niemal w olimpijskim składzie (zabrakło tylko Lubańskiego) „biało-czerwoni” w miarę łatwo wygrali 3:0. Włodek był jednak w tamtych czasach ambasadorem numer jeden polskiego piłkarstwa. W roku 1971 wraz z Zygmuntem Anczokiem wystąpił w Moskwie w drużynie Reszty Świata żegnającej wraz ze „sborną” Jaszy-na, a na początku października 1972 roku w Bazylei bronił barw Europy w meczu z reprezentacją Ameryki Południowej. Zwierzył mi się po tym meczu:

...Mamy w naszej drużynie narodowej jeszcze kilku innych zawodników godnych dostąpienia zaszczytu gry w reprezentacji Europy lub świata. Anczok i ja już graliśmy z najlepszymi wśród najlepszych, a przecież mamy jeszcze Deynę, Gadochę i Gorgonia...

W tych kilku słowach Lubański dał wyraźnie do zrozumienia, których z naszych reprezentantów uważa za najlepszych. Typy Włodka w znacznym stopniu pokrywały się z autorską klasyfikacją kolegium redakcyjnego miesięcznika „Piłka Nożna”. Naszym zdaniem w roku olimpijskim 1972 najlepsi na swoich pozy-

cyjach byli: Hubert KOSTKA (bramka), Jerzy GORGON (obrona), Kazimierz DEYNA (pomoc) i... Robert GADOCHA (atak). Dopiero na drugim miejscu wśród napastników sklasyfikowaliśmy Włodzimierza Lubańskiego. Tuż za nim widzieliśmy już Andrzeja SZARMACHA, mimo że nie był na Olimpiadzie w Monachium, ba – dotychczas jeszcze ani razu nie wystąpił w reprezentacji. Imponowała nam jego bramkostrzelność i sprawność fizyczna. Mówiono, że tańczył w balecie. Jego dobry czas, a także Jana Tomaszewskiego i Władysława Żmudy, szybko się zbliżał.

Iskrzenie na linii kluby – reprezentacja wyraźnie zmałało. Będą więc wygrywać drużyny klubowe i narodowe? Na taki luksus jeszcze nie było nas stać. Nadal za wąska była kadra klubowa, a w niej za mało wybitnych zawodników. Z reguły ci sami, rzecz zrozumiała najlepsi, musieli brać na swoje barki odpowiedzialność za wyniki w klubie i reprezentacji. Mieli więc prawo odczuwać zmęczenie. Ale część mediów znowu stawiała sprawę na głowie. Sugerowano, że reprezentacja odebrała zawodnikom, głównie Górnika i Legii, ochotę do równie dobrej gry w macierzystych klubach. Piłkarskie wilki nasyciły się sukcesami reprezentacji i teraz już nie są głodne sukcesów. Bzdura!

Olimpijczycy wywodzący się z Górnika i Legii równie dobrze jak w Monachium, spisywali się w meczach pucharowych swoich drużyn z Dynamem Kijów i AC Milan. Procentowało tu zdobyte doświadczenie, a także końcowa faza centralnych przygotowań do turnieju olimpijskiego. Ich forma i jakość były zdecydowanie wyższe niż praca w klubach. Kadrowicze harowali, klubowcy bimbałi. Tu tkwiły zasadnicze przyczyny słabszej po Olimpiadzie gry czołowych drużyn, a nie w braku chęci u tych najlepszych. Medaliści nadal grali dobrze, natomiast ich koledzy ligowi byli piłkarsko wyraźnie słabsi. Stąd niepowodzenia klubów na arenie międzynarodowej.